

DIABLY

ELŻBIETA WOJNAROWSKA

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2014

Redakcja: Zofia Palowska
Korekta: Sylwia Łopatecka
Projekt okładki: Zuzanna Czwartos
zdjęcie © Viktoria Gavrilina/shutterstock.com
Skład: Edycja

Projekt zrealizowano
w ramach stypendium MKiDN

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

ISBN 978-83-277-0017-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia Wydawnictwa WAM



Co pamiętam? Wszystko. Jakby to było dziś:

– Panie Andrzeju, blenda pomarańczowa nie żółta, bardzo proszę! Światło lewe wyżej! O, tak, dobrze! Proszę włączyć na ful... teraz przyciemnić... okay! Sprawdzamy kolejno układ świateł na scenie... dobrze, dobrze... proszę pamiętać o synchronizacji z muzyką!...

– Pani Weroniko... – Zaaferowana Magda schyla się nade mną prawie w półukłonie. Usiłuje utrzymać w rękach górę pakietów reklamowych, aż drży z wysiłku, na jej poczerwieniałej twarzy maluje się emocja pełna trwogi, widać, że to pierwszy pokaz Magdy.

– Nie teraz. – Odsuwam ją zniecierpliwionym gestem. Nie znoszę, gdy przerywają mi w najbardziej decydującym momencie prób czy pokazów. Ona tego jeszcze nie wie, wszystkiego dopiero się uczy.

– Ale... – zaczyna znowu i jej błagalne spojrzenie przykuwa moją uwagę na dłużej niż chwilę.

– No dobrze – kapituluję – cóż tam znowu?

– Brakuje upominków! – Magda to czerwienieje, to blednie, jakby za chwilę miała zemdleć.

– Jak to? – Nie rozumiem, co się dzieje. – Dziś pokaz, jak to brakuje?

– Właśnie! – Magda ma ochotę się rozplakać. – Nie mam pojęcia. Brakuje.

– Toreb? I reszty? – Upewniam się. Mam ochotę kogoś stłuc. Tylko kogo? Kto zawałił? Nie czas teraz na roztrząsanie tego. Na rozliczenia będzie okazja po pokazie.

Magda otwiera usta, potem zamyka, jej oczy są okrągłe jak piłki. Milczy.

– Proszę przygotować torby z poprzedniego pokazu, są prawie takie same, do środka włożyć gadzety z promocji, na szczęście testery są znakomite, a kosmetyczki eleganckie. Te zestawy pójdą na sam tył, a te do pierwszych rzędów. Czy to jasne? – wydaję dyspozycje.

Nie miałam dobrego humoru. Już te żółte blendy wytrąciły mnie z równowagi, potem te torby. Na szczęście mówi się: „pierwsze koty za płoty”. Więc może teraz polecą jak z płatka, pomyślałam. A więc, Magda oddała się szybko, wie, że od jej inwencji zależy, jak odbiorą nas potencjalni klienci. Ja wracam do prób. Kolej na muzykę.

– Panie Jarku! Puśćmy podkłady muzyczne kolejno, po kawałku, sprawdźmy głośność i zgodność z obrazami wyświetlanymi na ekranie.

Ze wszystkich stron nagle zaczął dobiegać cichy szum, głośniki rozmieszczono jak należy, efekt stereo znakomity. Miało się wrażenie, że dźwięki płyną ze wszystkich stron, otaczają cię, biorą w posiadanie. Poddajesz się im, jesteś zniewolony ich sugestywnym, nieposkromionym pięknem.

– Muzyka w porządku. – Tak, jestem usatysfakcjonowana.

Z kolei przyglądam się obrazom wyświetlanym na olbrzymim ekranie, ich kolorom i wyrazistości, ładunkowi, który niosą ze sobą. Myślę o emocjach, jakie wywołają, jakie powinny wywołać. Ich natura ma być nieokielznana,

oglądający je mają czuć to, co ja teraz, uniesienie i zachwyty. Mają zostać zniewoleni. Tylko wtedy to, co zobaczą na wybiegu, ma szansę stać się dla nich wielkim wydarzeniem. Tak, to spektakl. Gra na wyobraźni. Muszą zobaczyć więcej, niż im się pokaże. Muszą uruchomić swoją wrażliwość, a ja powinnam zmusić ich do zachłystnięcia się każdym szczegółem. Tu widzowie są najważniejsi, nie aktorzy.

– Obrazy okay. – Wstaję zadowolona.

Zawsze sprawdzam wybieg, czy jego podłoga jest gładka, czy nic nie odstaje, nie byłoby dobrze gdyby modelka o coś zaczepiła suknię czy obcasem, wywrotki zdarzają się, ale nie u mnie. Nie mogę sobie na to pozwolić. Zbyt wiele zainwestowaliśmy w ten pokaz. Więc chodzę i sprawdzam...

– Pani Weroniko! – Ferdynand pojawił się przy mnie jak duch, wyrósł z ciemności wielki niczym olbrzym.

– Co tam znowu? – Zdenerwowałam się, jego głos brzmiał podejrzenie złowróżbnie.

– Nie będzie Naomi, zachorowała – zabuczał głucho.

– O Boże! – jęknęłam, bo choć to nie piątek i nie trzynastego, nagle wszystko zaczęło się walić! Ziemia prawie usunęła mi się spod nóg. – Mamy inną czarną dziewczynę?

– Zamówiłem Kassandra. Jest mniej znana, ale jak pani dobrze wie, równie piękna. Mamy na szczęście dość czasu na przymiarke i poprawki. Krawcowa już czeka, więc jeśli pani pozwoli...

– Nie mamy wyjścia. – Usiłowałam pozbierać rozbiegane myśli. – Naomi była naszym największym atutem. Nikt w Polsce nie miał jej jeszcze na wybiegu... Do diabła! Zrobiliśmy jej taką ogromną reklamę, co teraz będzie? Jak opiewa jej kontrakt?

– Jest chora, nie mamy na nią haka. Musimy odpuścić.

– Jasne, pewnie znowu się z kimś pobija... – Nie mogłam się powstrzymać od uszczypliwości. – Na szczęście są jej zdjęcia z kampanii reklamowej, wykorzystamy je w najbliższym numerze, a Kassandrę pokazemy w relacji z pokazu. Naomi da radę być na drugim pokazie? *Haute couture*?

– Podobno tak.

– To może nawet lepiej, że teraz jej nie ma. Tym większy będzie efekt. Żeby tylko znowu coś jej nie wypaliło.

– Czyli bierzemy Kassandrę?

– Tak, będę jakoś musiała uzasadnić tę zmianę. Daj pomyśleć...

Ferdynand znikł. Musi wpasować Kassandrę w kreacje Naomi.

Nie jest źle, uspokoiłam się. Dziś stroje sportowe, codzienne, wieczorowe. Cassandra da sobie radę. Naomi jest od wielkich kreacji. Tak, będzie o wiele lepiej, jeśli wystąpi tylko w pokazie *haute couture*. Humor poprawił mi się natychmiast. Tłum pracowników czeka w pełnej gotowości. Za chwilę pojawi się firma cateringowa, każdy otrzyma posiłek, w ramach pewnej listy dań oczywiście, a potem wybije godzina zero. Zacznie się odliczanie, a raczej bieg ku wieczorowi, ku gali, ku eksplozji. Ruszy machina i nic jej już nie zatrzyma. Setki ludzi będą się uwijać jak w ukropie. Wszystko musi pójść jak należy. Każdy odpowiada za swój ściśle określony odcinek, logistyka jest najważniejsza. A nad tym wszystkim panują ja. Jestem nie tylko główną projektantką. Choć współpracuję ze sztabem projektantów, by odciążali mnie maksymalnie, szczególnie przy wykonywaniu wymyślonych już przeze mnie projektów i przy szytciu, moja doba trwa znacznie dłużej niż

dwadzieścia cztery godziny, choć to podobno niemożliwe. Jestem jednak przede wszystkim dyrektorem generalnym całego przedsięwzięcia oraz redaktor naczelną wiodącego modowego pisma. Czyli jestem... w swoim żywiole. Jestem sobą do końca. Jestem tym, czym pracuję, czym żyję. Nie mam niczego poza tym. I niczego więcej nie chcę.

Przywieźli moją ulubioną rybę w potrawce. Jedząc, przeglądam zdjęcia Naomi. Wyszły rewelacyjnie. Pójdą na pierwszą stronę. Ta dziewczyna jest niezwykle fotogeniczna. Te jej usta. Prawie fosforyzują. Pomadka wypadła fantastycznie. Świetnie dobrany odcień do świetlnych refleksów na sukni. Bomba! Konkurencja padnie z wrażenia. Nasze projekty codzienne nie są drogie, każdego na nie stać. Ale te z *haute couture* są jedyne w swoim rodzaju. I będą kosztować majątek. Nasze nakłady więc szybko się zwrócą, nie brak kobiet szukających czegoś naprawdę ekskluzywnego. Szczególnie nie narzekam na brak bogatych Rosjanek czy Ukrainek. Kiedy przyjeżdżają, zamykamy salon, modelki prezentują kolekcję tylko dla nich. A te klientki biorą całymi naręczami, wszystko co dobrze na nich leży. I z reguły leży, bo to kobiety wypiełgnowane, o świetnie utrzymanych figurach. Artystki, żony artystów, polityków lub dyplomatów... U nas zakupy wychodzą im i tak taniej niż na Zachodzie, na przykład u Diora czy Chanel. Biorą więc także dodatki, buty, torebki, szale...

Dzwoni moja komórka. Mama?

– Weronko, jak leci? – Słyszę w słuchawce jej głos. Jakiś podejrzanie niepewny.

– Dobrze, mam nadzieję, że zdązysz na pokaz? – upewniam się.

– Ja właśnie w tej sprawie – zaczyna i nie kończy. Jak zwykle. Już prawie wiem, co zaraz usłyszę.

– Mamo, chyba nie... – przerywam jej, ale nie daje mi skończyć.

– Wybacz – mówi bardzo szybko, jak to ona, gdy nie chce usłyszeć żadnego argumentu. – Wiem, że jesteś zabiegana. Na pewno wszystko wypadnie wspaniale...

– Nie zamierzasz chyba nie przyjść? – Pewnie jestem niegrzeczną córką, mój głos nie wróży nic dobrego, tak, jestem zła, bardzo zła. Już wiem, że ona nie przyjdzie. Jak zwykle, jak zawsze. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Ani wybaczyć.

– Córcia, zrozum, ja źle się czuję w takim tłumie. Każdy będzie się na mnie gapił, bo na pewno mnie przedstawisz, a nawet jeśli nie, to co ja tam będę robić, wśród tych ludzi, tam sami ważni oficjele i takie superkobiety, nie to co ja, baba ze wsi...

– No nie, zawsze to samo! Z własnej woli skazujesz się na takie życie! Ja chcę cię wydobyć z tego lasu, pokazać ci coś, czego nigdy nie widziałaś, pomóc zasmakować w trochę innym życiu, a ty co? Nie pozwalasz sobie pomóc! Tchórzysz! – Głos mi drżał, nie chciałam być dla niej niemą, chciałam tylko, żeby coś do niej dotarło. Ale chyba na próżno.

– Jestem, jaka jestem – Jej głos też drżał, chyba z urażonej dumy. – Nie musisz się mnie wstydzić. Pokaz na pewno będzie wspaniały.

– Ale jedno miejsce będzie puste. Uważasz, że to w porządku? – Chciało mi się płakać.

– Wybacz... – zaszemrało w słuchawce.

– Gdyby tu była Leonka, przyjechałabyś, prawda? – prawie krzyknęłam i wtedy rozłączyła się. Nie było sensu oddzwaniać. Nie odbierze telefonu. Już postanowiła. Nie przyjedzie. Jak zawsze. Och mamo, dlaczego? Dlaczego?

Tak to było. I w każdym najdrobniejszym szczególe, wszystko – krok po kroku – odtwarzam teraz wciąż, raz po raz...

Fuerteventura. Tu nigdy nie kończy się asfaltowa droga. Takie ma się wrażenie, patrząc w dół z tej odległości. Stąd, nad urwiskiem, widać to szczególnie wyraźnie. Wygląda jak kłęb poprutej wstążki. Przechodzi jedna w drugą. Niekończący się labirynt szos. Z którego nie da się wypłatać ani wzdłuż, ani wszerz, ani w jakimkolwiek innym kierunku. Można tylko iść czy jechać do przodu, żadna zmiana nie ma sensu. I trzeba patrzeć przed siebie. Prosto w horyzont. Wierzyć, że umykająca wciąż sprzed oczu ciemna linia jest coraz bliżej i że osiągniemy ją tak, jak cel naszej podróży. Jeżeli oczywiście celem jest to, co nam się wydaje. Na moment straciłam oddech, jak zawsze przy szybkim marszu. Jestem prawie na szczycie. To Pico de la Zarza, osiemset siedem metrów nad poziomem morza, najwyższy szczyt Fuerteventury. Podejście zajęło mi prawie cztery godziny. Nie było jednak zbyt trudne, raczej męcząco monotonne. Słońce grzeje niemiłosiernie. Muszę przystanąć i zaczerpnąć powietrza. Z tej wysokości każda rzecz w oddali maleje do wielkości punktu. Wzrok leci przed siebie z prędkością światła. Dosięga najdalszych krańców wyspy. Żółta Fuerteventura faluje w oczach przecięta na pół niebieską, zamazaną linią horyzontu. Jest ogłuszająco cicho, cisza tak dzwoni w uszach, że prawie pękają mi bębni. Jeszcze krok, jeszcze jeden, pot zalewa oczy, nogi odmawiają posłuszeństwa. Koniec. Przysiadam na wielkim głazie, jakich tu wiele wokół. Ostre, wiatry nie stępiły przez lata ich krawędzi, trwają niewzruszone, opierając się wszelkiej erozji.

Same dla siebie. I dla kruków, które pośród nich, wysoko, nad samym urwiskiem uwiły gniazdo. Kruki kołują teraz nade mną, ich chrypliwy głos płynie w przestrzeń i poza nią. Dźwięk, który naprawdę trwa długo, a jeszcze dłużej w mojej wyobraźni. I w mojej pamięci. Bo łączy się tam z tym dźwiękiem, który kiedyś słyszałam, a teraz chciałabym usłyszeć. Chrypliwe wołanie kruków. Wystarczy zamknąć oczy i wszystko łączy się w całość, staje się jednym i tym samym. Droga, urwisko, kruki i ich krzyk. Teraz jest rok 2011, mam lat trzydzieści, i co z tego? Przeszłość staje się terażniejszością i tak samo jest nieprawdziwa i wyobrażona, pełna subiektywnych projekcji, jak przyszłość. Ta przyszłość, tak samo wymyślona, stworzona ze złudnej wiary, że możemy ją kształtować wedle własnych wyobrażeń. Wyjmuję z bułek plastry szynki i rzucam je na skały twoim gestem, Christianie. Kruki mają świetny wzrok, krążą teraz wokół skał, prawie nie poruszając skrzydłami, musiały zapamiętać to samo co ja. Widziałam tylko film, który nakręciłeś tu na szczycie, a jednak tak wyraźnie mam przed oczami twój gest, choć ja tak naprawdę nigdy cię tu nie widziałam, w przeciwieństwie do kruków. Nie upłynęło tak wiele lat od czasu, kiedy tu byłeś, możliwe nawet, że to te same kruki obserwują teraz, kołując, leżącą niedaleko cenną zdobycz. Możliwe nawet, że pamiętają smak tamtych plasterów szynki, rzuconych im wtedy przez ciebie. Powieliłam zdarzenie sprzed pięciu lat z dziwną premedytacją. Z determinacją, jakby powtórzenie tego samego, odbierało tamtemu zdarzeniu wyjątkowość, a więc degradowało do jednego z wielu, pozbawiając magii i znaczenia. Czy właśnie po to tu przyszłam? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

Skąły są czarno-szare, wulkaniczne. Wokół pomarańczowy popiół. Opiera się wiatrowi, którego świstu tu, na szczycie Pico de la Zarza, nie zagłusza nawet wołanie kruków. Kruki krążą teraz bardzo wolno. Są dwa, czarne i wielkie. Szyńka znika w okamgnieniu w ich przepastnych gardłach. Rzucam w powietrze bułkę, żeby odciągnąć ich żarłoczny wzrok od mojej czaszki. Nie czuję się przy nich bezpieczna, jednocześnie wiem, że to jedyni moi towarzysze tutaj i że ich obecność dodaje mi dziwnej otuchy. Podzielenie się z nimi czymkolwiek to przecież jak rytuał, jak wypalenie fajki pokoju. I rzeczywiście, zataczają coraz szersze kręgi, prawie płyną w powietrzu, jakby w podzięce ofiarowały mi na krótko gościnę obok siebie. Jestem im wdzięczna za ten gest. Niczego bardziej teraz nie potrzebuję jak tej niezmierzonej przestrzeni, jaką tak hojnie się ze mną podzieliły. Rozglądam się ospale i sennie. Z lewej strony widać wyraźnie ścieżkę, którą tu przybyłam, a niżej wijącą się pasterską drogę, prowadzącą poza urwisko, tam gdzie nie sięga mój wzrok. Nie wiem, co jest dalej. Tylko kruki to widzą i wiedzą, dokąd ta kręta, wisząca nad przepaścią droga wiedzie wspinających się tu czasem samotnie pasterzy kóz czy zbłąkanych turystów. Po prawej stronie, wprost ze szczytu, pędzi w dół skalista przepaść, kończąca się dziką, ciągnącą się wiele kilometrów plażą. Stąd, z góry, widać wyraźnie głębokie wiry w oceanie, tuż przy brzegu, i widać, jak szalone, obłądnie tańczące wiatry nawiewają falami piach na plażę, nie pozostawiając falom miejsca na odpływ. Zajadłe tworzą podcinane od siebie jeziora, odbijające tylko przez chwilę głęboki lazur nieba, żyjące krótko, bo tylko do następnej fali i do następnego szalonego osypiska piachu, który rozdziela tę topiel i tworzy kolejne, błyszczące niczym lu-

stra, dzieła obłąkanego artysty. Jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, żywej duszy. Czuję się tu i teraz jedyna na świecie i jest mi z tym dobrze. Pod ciemnym szafirem nieba, pośród nieokreślonej woni soli i smoły, na końcu świata, odczuwam jedność ze sobą samą tak mocno, jak chyba nigdy wcześniej. Dziwną harmonię z krążącymi nad głową ptakami, znoszącymi cierpliwie mój widok i moją tu obecność. Powoli zaprzyjaźniam się z tym, co roztacza się przed moimi oczami. Akceptuję bezkres. I bezsilność ciała. Upał, oślepiającą jaskrawość słońca, jednostajny dźwięk, jaki wydobywa się z gardel kruków, i idący jakby sprzed wieków hipnotyczny zaśpiew wiatru smagającego bezlitośnie skały. Wiem, że widziałeś to samo, mogłam więc mieć pewność, że czas nie ma żadnego znaczenia i że pewnie niewiele się tu zmieni za sto czy za tysiąc lat. Bo właśnie ta chwila jest jedyna i niezmienna. I taka pozostać na zawsze. Choćby tylko w mojej pamięci. I zawsze będzie tam na mnie czekać.

SPIS ROZDZIAŁÓW

ROZDZIAŁ 1

7

ROZDZIAŁ 2

78

ROZDZIAŁ 3

140

ROZDZIAŁ 4

186

ROZDZIAŁ 5

236

ROZDZIAŁ 6

317